Tarnowski St. Hoesick O Słowackim, Kra-
sińskim i M-czu (recenzja).

— Ferdynand Hösick: *O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu.* Studya historyczno-literackie. (Kraków, Gebethner i Spółka, 1894. 8 vo, str. 333). — Tytuł zapowiada treść zajmującą; książka zgrabna i starannie wydana, samym swoim pozorem kusi, żeby ją wziąć do ręki; a nazwisko młodego autora, który pierwsze swoje kroki stawia zapewne nie bez tego drżenia, jakie wszyscy pamiętamy z lat młodości, obudza ciekawość i życzliwość. Chciałoby się nie znaleść nic, przynajmniej nic ważniejszego do wytknięcia, jak najwięcej do chwalenia. Wyszczególnienie treści, zaostrza jeszcze literacki apetyt na książkę. Pierwsza miłość Krasińskiego, i ostatnia miłość Słowackiego, pierwsza znajomość tych dwóch poetów, ich przyjaźń, miłość jednego z nich do tej, która niegdyś była ideałem drugiego, kwestya (zajmująca a dotąd nietknięta): czy na Słowackiego działał wpływ Shelleya lub nie — wszystko to warte czytania; warto coś o tem się dowiedzieć, a warto też przypatrzeć się, jak młody autor będzie rozplątywał te zagadnienia, nieraz zawiłe, i jak je rozwiąże. W miarę czytania poznaje się, że on ma niezaprzeczone zalety. Pisze ładnie, z życiem — poprawnie i starannie, a nie ciężko, ani sucho.

Ma i wielkie zamiłowanie literatury, i nie mniejszą jej znajomość; ma dobry smak; ma umysł bystry, a w umyśle tyle wyobraźni, w piórze tyle wdzięku, ile potrzeba, żeby to, co napisze, czytane było z przyjemnością. Chcielibyśmy na tem skończyć, i zostawić naszego czytelnika pod wrażeniem tych przymiotów, z których on może sobie złożyć w myśli wcale ujmujący i obiecujący portrecik autora. Ale sprawozdawca powinien być portrecistą wiernym, fotografem nie poetyzującym i upiękniającym malarzem; a ten obowiązek każe nam wyznać, że p. F. Hösick, obok swoich niezaprzeczonych zalet, ma i wady, może z tych przymiotów wynikające, do usunięcia łatwe, ale szkodliwe, dopóki nie usunięte. Właśnie też dlatego, że poradzić na nie można, a że mogłyby neutralizować przymioty, gdyby się zakorzeniły i weszły w zwyczaj, pozwolimy sobie wskazać je otwarcie i zawczasu.

P. Hösick ma wyobraźnię, dar wielki nawet u takiego pisarza, który poetą być nie myśli; ale ma jej zawiele, albo zawiele się na nią spuszcza. Ztąd w jego rozprawach, *historyczno-literackich*, zatem naukowych, brak ścisłości i dokładności, domysł (nawet tam, gdzie domyślać się nie trzeba, bo można wiedzieć), hipoteza śmiało podana za pewność, a nie uzasadniona, albo uzasadniona niedostatecznie; ztąd częste pomyłki co do zdarzeń czy osób, przebieg jednych dowolnie a niekoniecznie prawdziwie złożony, wiadomości o drugich i wyobrażenie o nich czytelnikowi dane, często niezgodne z tem, czem te osoby naprawdę były. Ten zarzut dowolności i domysłu spada potrochu na wszystkie rozprawy p. Hösicka, najbardziej wszakże na pierwszą z nich, która opowiada dzieje pierwszej miłości Krasińskiego.

Jak wiadomo, nie mamy dotąd żadnych wiarogodnych źródeł do tych dziejów, prócz listów poety (do Sołtana i Jaroszyńskiego głównie). Wszystkie dotychczasowe opracowania na nich się opierają, wyciągając z nich wnioski, lub dodając do nich szczegóły, niekoniecznie stwierdzone i pewne. Z listów zaś Krasińskiego pokazuje się niewątpliwie, że ta miłość była wzajemną, walka uczucia z obowiązkiem mężną (po stronie kobiety), szczęście krótkiem. W ślad za niem przyszły ludzkie domysły, sądy i obmowy, potem wyrzuty sumienia i (zapewne) podejrzenia męża, i odkrycie przed nim smutnej prawdy. Udręczenie straszne dla obojga; rzadkie spotkania, raczej bolesne i męczące; w sercu poety miłość gaśnie stopniowo a trzyma się tylko wierność i litość dla nieszczęśliwej. Wkracza w to wszystko wola ojca, której syn się opiera, której ulega jego kochanka, kiedy na żądanie Jenerała zrywa z Zygmuntem. W tych kilku słowach streszczają się dzieje kilku lat, dramat, którego akty i sceny odgrywają się w Wenecyi, w Ischlu, w Salzbrunn, w Opinogórze i t. d. Ale z listów Krasińskiego można się dowiedzieć, jak

ta miłość zaczęła być udręczeniem obojga, i jak się skończyła; gdzie i jak się zaczęła, jak rosła aż do szczęśliwej chwili wyznania, o tem poeta nie mówi nic zgoła. A właśnie te początki opowiada i opisuje p. Hösick... na domysł. Konstrukcya historyczna jest zapewne bardzo piękną rzeczą; ale powinna jednak opierać się na jakiejś podstawie, i powinna to, co przypuszcza, podawać jako przypuszczenie, a nie jako pewność. P. Hösick sam czuje widocznie, że zanadto puścił wodze wyobraźni i domysłom, skoro opowiadanie swoje nazywa *nowellą* historyczno-literacką. Tem uspokaja swoje sumienie: pisze niby powieść, a więc wolno mu odstępować od rzeczywistości. Tylko że powieść o wypadkach i osobach rzeczywistych, a tak dobrze znanych, że je wielu jeszcze żyjących pamięta, wiary nie znajdzie, ani jako powieść, ani jako rozdział z historycznej biografii. Co zaś już w żadnym razie romansem czy nowellą być nie powinno, to te historyczne szczegóły i objaśnienia, które autor podaje w odsyłaczach — a tu nieszczęściem fantazyi i domysłu nie mniej, jak w samem opowiadaniu.

Na podstawie *Niedokończonego Poematu* sądzono dotąd, że owa pierwsza miłość Krasińskiego, zaczęła się w Wenecyi. P. Hösick twierdzi, że w Rzymie. W Wenecyi byli oni razem, ale już po wyznaniu, już w pierwszych uniesieniach szczęścia, a poznali się w Rzymie. Tu czy tam? rzecz obojętna; ważnem jest to główne, miłość i jej następstwa, nie podrzędna okoliczność miejsca. Niech będzie w Rzymie — dobrze. Tylko argumenta za tym Rzymem powinny być silniejsze. Bo że oboje tejsamej zimy byli w Rzymie, to jeszcze nie dowód, żeby tam właśnie byli się spotkali po raz pierwszy; mogli jadąc do Rzymu zatrzymać się w Wenecyi i tam się zobaczyć. Drugi argument jeszcze słabszy. W *Niedokończonym Poemacie* figuruje Książę Bankier, i on pokazuje Młodzieńcowi księżnę Rahoga: Książę Bankier ma być wspomnieniem księcia Torlonii; książę Torlonia dawał bale; jeden z tych balów (nie ba*li*) opisuje Odyniec w *Listach z Podróży*, więc — wniosek jasny jak słońce, że na balu w pałacu Torlonii Krasiński zobaczył swoją księżnę Rahoga. Kiedy o Włoszech mowa, to powiemy po włosku: *questa coda non e di questo gatto*, czyli ten wniosek nie wynika z tych dowodów. Autor wié i opowiada, jak żeby był widział, jak Jaroszyński prezentował Krasińskiego pani B...[1]) a tłómaczy, że znajomość między niemi ułatwiło i w poufałość zamieniło — pokrewieństwo. Jakie? Pani B. miała siostrę, która wyszła za Radziwiłła, a Krasiński miał matkę, która była Radziwiłłówna z domu. Przez to mogła owa siostra być z nim w pokrewień-

[1]) Trzymamy się tego sposobu pisania, który zdaje nam się właściwszym, kiedy chodzi o osobę choćby nieżyjącą, jeżeli żyją tacy, których ona zbliska obchodziła.

stwie; ale żeby siostra jakiejś wujanki była jego ciotką, to się wytłómaczyć nie da przez żaden nowszy cud katolikowi. Wogóle pokrewieństwa rozciąga autor bardzo elastycznie. Druga siostra tejsamej pani była za Jabłonowskim, a że księżna Stolnikowa Czartoryska była Jabłonowska z domu, więc znowu *ona* była krewną starej księżnej. Co więcej, w kilka lat później spotykamy ją w Paryżu jako krewną księżnej Adamowej Czartoryskiej. Dlaczego? jakim sposobem? Tym, że księżna Stolnikowa Czartoryska była Jabłonowska, a *jej* siostra była także Jabłonowska, więc oczywiście... Pewnego razu jeden pan dowodził dwom paniom, że są z sobą w pokrewieństwie. „Jak? przez kogo?“ pytają panie, które o tem nic nie wiedziały? Pan odpowiada, że przez Karola Wielkiego, od którego przez różne genealogiczne kombinacye pochodzą obie rodziny. — „Powiedz pan lepiej przez Karola Łysego“ — mówi jedna z tych pań — „w takim razie przynajmniej pokrewieństwo nie będzie ciągnięte za włosy.“

Dość, że na zasadzie tego (za włosy przyciąganego) pokrewieństwa, Krasiński, który o niem nigdy nie mówi, ani nie myśli, mógł assystować nieustannie swojej ubóstwianej, nie narażając jej ani siebie na obmowy, a gdy później razem pojechal, z Rzymu do Wenecyi, ludzie znaleźli to zupełnie naturalnemi bo przecież oni byli krewni.

Tu pozwolimy sobie wyrazić wątpliwość, czy mogli być tak nieostrożni, żeby aż jechać razem... i wyrazić podziwienie dla wielkiej dobroduszności ludzi, którzy wspólną podróż młodej mężatki z młodym kawalerem uważali za rzecz tak prostą i pokrewieństwem (mniemanem do tego!) wytłómaczoną.

Wogóle wzajemne stosunki osób, ich stanowisko, charakter, przeszłość, przedstawione są na domysł i dowolnie. Co było Polaków w Rzymie, to wszystko w tejsamej niby zażyłości z sobą, i z Krasińskim. W tem towarzystwie i w tej zażyłości, obraca się ów Książę Bankier, Torlonia. Przydomki, jakie w poufałych listach do Sołtana daje Krasiński różnym znajomym, a których przed mniej zaufanymi z pewnością im nie dawał, figurują jako przyjęte i używane przez całe to *ukraińskie grono*. (Dlaczego: ukraińskie?) Czasem przenosi autor przydomki z jednej osoby na drugą. Krasiński naprzykład nazywa żartem Aleksandra Potockiego *genéral Aléxandre;* u naszego autora przydomek ten oznacza księcia Torlonię. Sołtan nazywa się pułkownikiem, bo między tem gronem wyglądał jak jego komendant; można było wiedzieć, że był pułkownikiem naprawdę, i znać jego historyę choćby tylko z *Listów* Krasińskiego. Księżna Stolnikowa jest (kilka razy) matką pań Alfredowej i Arturowej Potockich... Wszystko to drobne rzeczy? Zapewne; ale po co bez potrzeby narażać się na przypomnienie przysłowia o dzwonach, które gdzieś dzwonią, tylko my nie wiemy w jakim kościele? A kto w małych rzeczach przywyknie domyślać się tego,

co można wiedzieć, ten może ten zły zwyczaj przenieść i na rzeczy ważniejsze. A jak się czytelnik przekona kilka razy, że domysł był fałszywy, to może się powtórzyć historya tego pasterza, co wołał na wilka, a towarzysze mu nie wierzyli, bo się nieraz na jego wołaniu zwiedli.

W dalszym ciągu tego romansu autor trzyma się ściślej *Listów* Krasińskiego, opowiada tylko obszerniej, powieściowym sposobem, to co w nich jest; ztąd niedokładności mniej. Zdarzają się jednak, jak ta naprzykład, że Krasiński podczas tych przejść obmyślał *Irydiona* (na prawdę w Petersburgu, jak dowodzą jego listy do Reeva), albo że już nigdy w życiu swojej dawnej kochanki nie widział (widział ją w Warszawie, u swojej żony albo że malarz Torre był zarazem ulicznym śpiewakiem, (przez jaką intuicyę nauczył się malować?) — ale ogółem w tej dalszej części domysłów mniej.

W szkicu następnym: *Słowacki i Krasiński w Rzymie*, niema ich; jest to, co wiadome. Przecież i tu nieszczęściem musimy prostować Fantazy w *Niepoprawnych* Słowackiego, kiedy wyśmiewa różnych Polaków w Rzymie, wspomina i dewotkę z długiemi lokami, a w każdym loku „siedzi kanonik albo monsignore.“ Tą dewotką nie może być nikt inny, zdaniem autora, tylko znowu nieszczęśliwa księżna Stolnikowa! Ona śmieszną dewotką? ona, podobna do „Matki Kościoła“ Henryka Rzewuskiego? ona w swoich ośmdziesięciu przeszło latach układa swoje białe włosy w loki, jak współczesna heroina Balzaka, albo figurka z dziennika mód? Owa *hrabina pobożna* jest dewotką ogólnie, podobną do bardzo wielu, ale nie do jakiejś jednej; a jeżeli Słowacki o jakiej jednej myślał, to z pewnością nie o tej. Drugie nasze sprostowanie odnosi się do porównania Krasińskiego i Słowackiego z innemi podobnemi parami przyjaciół. Schiller i Goethe, Byron i Shelley — dobrze. Ale Mickiewicz i Puszkin? Jakże może autor Puszkinowi robić ten honor? Że Mickiewicz w Petersburgu miał dla niego serce otwarte, to prawda; ale od tego do przyjaźni takiej, jak Schillera z Goethem, bardzo daleko; a nie należało zapomnieć o tem, że Puszkin napisał wiersz przez Mickiewicza przeczuciem jakiemś odgadnięty, i opisany jak na to zasłużył w ostatniej strofie wiersza do *Przyjaciół Moskali*.

Następuje dyalog. Klaczko wskrzesił tę formę w *Wieczorach Florenckich*. Zdzisław tedy, i Beatrice rozmawiają o *Przedostatniej miłości Słowackiego*. Za punkt wyjścia służy im znany ustęp z listu Krasińskiego: „Słowacki zakochał się wściekle w pani B.“ Inne listy jego, do Słowackiego samego, dostarczają więcej wątku, a listy (dotąd nieznane) do Leonarda Niedźwieckiego, w których Słowacki rozwodzi się ze swemi skargami i rozpaczami, służą za uzupełnienie. Rzecz istotnie nowa, pierwsze dochodzenie tej literacko-romansowej sprawy. Byłoby zupełnie do-

bre, jak jest zajmujące, gdyby znowu nie zawiele domysłów i pewności. Autor zastanawia się i dochodzi, gdzie oni mogli się z sobą spotkać w Paryżu? i przypuszcza, że najprędzej u księżnej Czartoryskiej, jako krewnej (znowu). Czyż warto? Mogli się spotkać tam, i gdzieindziej, i wszędzie, a to zawsze wszystko jedno. Potem opowiada, jak żeby był widział, że Słowacki już zakochany przyniósł raz *Noc letnią*, gdy ta wyszła z druku, i zaczął czytać wiersz o sercu niewieściem i prześladowanem. Pani B. pod tem wrażeniem opowiedziała mu swoją miłość do Krasińskiego, a on dowiedziawszy się, że kochała raz, pomyślał, że może kochać i drugi. Ztąd jego natarczywość, jej obojętność, wreszcie gorycz i rozpacz zawiedzionego w nadziejach. Miłość, obojętność, rozpacz — wszystko to prawda. Ale okoliczności, tak dokładnie opowiedziane — to domysł.

Kogo Słowacki miał na myśli, kiedy pisząc *Niepoprawnych*, tworzył znakomitą postać Hrabiny Idalii? Dotychczas upatrywano w niej podobieństwo do p. Delfiny Potockiej. P. Hösick dowodzi, że za wzór służyć mogła tylko pani B. Panią Delfinę znał i widywał mało; kiedy pisał *Niepoprawnych*, ona była właśnie na szczycie tej władzy, jaką miała nad Krasińskim. Zapomnianą zaś, jak Idalia, była właśnie tamta; tamta zajmowała całą myśl i wyobraźnię Słowackiego — tamta wreszcie, była, jak Idalia, zdolna i skłonna do poświęcenia, któryto rys charakteru do pani Delfiny chyba nie przypada. W tem, bardzo być może, że autor ma słuszność; ale czy o jednej, czy o drugiej Słowacki myślał, to rzecz znowu dość obojętna. Idalia jest bardzo świetna i bardzo zajmująca, jako typ takiej istoty romantycznej, egzaltowanej, a wykolejonej. Przez to może być podobna do tej, i do tamtej, i do wielu innych, a każdy z osobna rys jej charakteru może być jeden pożyczony od tej, drugi od innej, tak, że czytelnik może w niej widzieć przypomnienie i podobieństwo osób różnych. Nie dziwimy się tym, którym na widok Idalii staje w oczach p Delfina Potocka; nie przeczymy, że p. Hösick może mieć słuszność, kiedy dowodzi, że Słowacki myślał o kim innym, choć stanowisko Idalii, jako wdowy (a prędzej rozwódki) wskazywałoby znowu raczej panią Delfinę, jak mężatkę, która się nigdy z mężem nie rozłączyła. Ale jeszcze raz: mniejsza o to. Nie chodzi o tę, ani o inną, tylko o Idalię; i o niej tylko, a nie o żadnej rzeczywistej osobie (przypomnieć musimy), mówił w swoich studyach powoływany kilkakrotnie na świadka prof. Tarnowski.

Trzy dalsze rozprawy odnoszą się do nieprzyjaźni wzajemnej Słowackiego i Mickiewicza. Znana historya bankietu, improwizacyi, pogodzenia, powtórnego pokłócenia, opowiedziana jest w długich szkicach: *Dwie uczty* i *23 grudnia*, mniej znana historya pojedynku Słowackiego z Ropelewskim w krótszym *Don Kiszotowym dniu*. Czy tego nie za dużo

trochę? Już wiemy, czytaliśmy tyle razy, że się nie lubili, i o co się nie lubili, że improwizowali, że chodzili z sobą pod rękę, że się znowu rozdzielili! Może już tego dosyć? Powiedzmy raz, że oba nie mieli racyi: Mickiewicz kiedy o Słowackim w *Kursach* nie wspomniał, Słowacki kiedy zazdrościł i obrażał się, i niech się to raz już skończy. Nie mielibyśmy zresztą nic przeciw jeszcze jednemu opowiedzeniu tej dość nudnej sprawy, gdyby nie była opowiedziana z krzywdą ludzi godnych i szanownych. Ale p. Hösick opowiada ją ze stanowiska Słowackiego wyłącznie, wchodzi we wszystkie jego pretensye i gorycze, opiera się na listach jego i Niedźwieckiego, który (Słowackiego przyjaciel, dobry człowiek, ale szczególną bystrością nie obdarzony) z wielką uwagą tylko może być powoływany na świadka — i na tej podstawie wystawia całą sprawę jako czarną intrygę podstępnie uknutą przeciw nieszczęśliwemu Słowackiemu. W emigracyi jest (jakoby) partya Mickiewicza i partya Słowackiego. Pierwsza wytęża wszystkie usiłowania, żeby upokorzyć i zdeptać niebezpiecznego współzawodnika. Duszą i sprężyną tych intryg jest Eustachy Januszkiewicz, jego pomocnikami Jan Koźmian, Szemiot i inni. Zbrodnią ich jest to, że kiedy po owym bankiecie zbierano składki na puchary dla Mickiewicza i dla Słowackiego, oni kazali zrobić tylko jeden, dla Mickiewicza, a Słowackiego chcieli wykwitować pierścieniem, którego wkońcu nie dali. Trzebaby wiedzieć: 1) z jaką intencyą uczestnicy bankietu składali owe pieniądze, 2) czy było tych pieniędzy dość na dwa puchary, 3) czy tensam dar honorowy dla Słowackiego co dla Mickiewicza byłby słusznym, i czy wielu nie byłoby go wzięło za złe? Trzebaby wiedzieć i uwzględnić dużo okoliczności, które autor spuszcza z uwagi, jednostronnie zapatrzony w *intrygę* i w *krzywdę*. Kiedy zaś Słowacki upokorzyć się nie dał, Mickiewicz, Januszkiewicz i inni intryganci pojechali do St. Germain, żeby się naradzić, co z tym zuchwalcem robić, i uradzili, że Ropelewski wyzwie go na pojedynek. Spodziewali się, że poeta stchórzy. Ale gdy się przekonali, że nie stchórzył, stchórzyli sami, i podstępnie nasadzili starego kasztelana Platera, żeby ten skłonił Słowackiego do ustępstw i przeproszeń; ale się nie udało, i Słowacki wspaniałomyślnie a dumnie przebaczył.

Historyi tego pojedynku nie znamy. Ale gdzie po jednej stronie mamy nerwowego, rozdąsanego, pełnego urojeń i przywidzeń Słowackiego, a po drugiej kilku ludzi, których ani honor, ani rozsądek nie były nigdy podejrzane, tam, z wielkiem przeproszeniem autora, w ich niehonorowe postępowanie wierzyć nie możemy, i nie będziemy nigdy. W jego przekonaniu, Eustachy Januszkiewicz był człowiekiem niejasnego jakiegoś charakteru i postępowania? Otóż mamy honor mu oświadczyć, że przekonanie nie nasze (to byłoby za mało), ale przekonanie wszystkich najlepszych i najpowszechniejszych ludzi w emigracyi było

inne, a opierało się nie na urojeniach i kwasach rozstrojonego poety, ale na siedmdziesięciu latach uczciwego, prawego, zasłużonego żywota. Argument, jaki ma dobrą sławę Januszkiewicza podać w podejrzenie, jest słaby, jest żaden. W r. 1834 miał się bić jakiś medal na pamiątkę r. 1831. Pieniędzy nań nie wystarczało. Januszkiewicz ofiarował się dołożyć co braknie, pod warunkiem, że przedsiębiorstwo przejdzie na jego ryzyko, możliwy zysk lub stratę. Słowacki oburzył się na tę chciwość (!), medal nie był wybity, Januszkiewicz odtąd pałał zemstą przeciw Słowackiemu.

Co w tej propozycyi brzydkiego, a choćby niedelikatnego? Może mamy sumienie grube a zmysł honoru tępy, ale dalibóg dopatrzeć nie możemy. Natomiast podług naszego sumienia grubego i nieczułego, taki sposób mówienia o ludziach uczciwych jest gorszy, niż dokonanie jakiegoś przedsiębiorstwa swoim kosztem, pod warunkiem, że zyski, gdyby były, należeć będą do tego, kto owo wykonanie zrobi możliwem.

Kilka osób tym razem roztrząsa w dyalogu pytanie, jaki jest stosunek *Cenci* Słowackiego do *Cenci* Shelleya, i czy wogóle Shelley wywierał jaki wpływ na Słowackiego. Na oba pytania odpowiada autor, naszem zdaniem, trafnie. Na ostatnie przecząco; na pierwsze, że obie tragedye są *inne*, tak od siebie różne, że porównywać ich nie można. Czy nie zbyt pochlebnie wyraża się p. Hösick o obu (pomimo ich piękności), i czy nie posuwa zadaleko wpływu Eschyla na Słowackiego (wpływu powierzchownego zupełnie)? W każdym razie, co pewna, to, że po Gregorowiusu możnaby już przestać mówić o niegodziwych związkach Aleksandra VI z Lukrecyą Borgią.

Ostatnia miłość Słowackiego (i ostatnia rozprawka w książce), to wiadomość nowa. Słowacki, już na schyłku życia, miał się poetycznie i platonicznie zakochać w żonie swego przyjaciela Reitzenheima. Reitzenheima znaliśmy, o jego żonie słyszeliśmy wszyscy (niekoniecznie korzystnie). Jego przyjaźń ze Słowackim była powszechnie wiadomą; dziwna rzecz, że ta miłość tak mało. Nikt o niej nie słyszał, nikt nie wspominał. Wzmianki Słowackiego w listach do matki, obojętne *na pozór*, jak mówi p. Hösick, nie wskazują nigdzie nic, prócz życzliwości. Że Budzyński (tłómacz Schillera) nazywa ją „platoniczną kochanką Słowackiego,“ to może jeszcze za dowód nie stanie. Czy przypadkiem tym razem także nie mamy do czynienia z domysłem?

Ta domyślność, czy domysłowość, to największa p. Hösicka wada i niebezpieczeństwo. Ma on wiele warunków potemu, żeby być pisarzem prawdziwie dobrym, nietylko przyjemnym i zajmującym. Ale jeżeli tej wady w sobie nie przezwycięży, to grozi mu ta przyszłość, że zostanie miłym feuilletonistą, którego każdy chętnie przeczyta dziś wieczór, ale na którym jutro nikt

nię nie oprze. Pragniemy najgoręcej, żeby tak nie było, i spodziewamy się, że nie będzie.

A druga uwaga ta. Zdawałoby się, że już chyba wyczerpaliśmy wszystkie ważne kwestye, odnoszące się do naszych poetów, kiedy tak gorliwie zajmujemy się drobnemi. Czy miłość Krasińskiego zaczęła się w Rzymie, czy w Wenecyi? do której z jego dwóch kochanek podobniejszą jest Idalia? Jak się Słowacki w jednej z nich zakochał? Jak się odbyły obiady czy wieczory na cześć Mickiewicza? Ostatnia miłość Słowackiego (jeżeli prawdziwa, to nic w jego dziełach nie znacząca)? Wszystko to drobiazgi. Czy niema kwestyj ważniejszych, i czy nie szkoda czasu na te drobne, jeżeli ważniejsze czekają rozwiązania?

P. Hösick, jeżeli dobrze wiemy, podjął jednę taką ważną, i pracuje nad dziełem o Słowackim. Przez lat blisko trzydzieści, przybyło o nim tyle wiadomości nowych, że uzupełnienie na ich zasadzie podstawnego klassycznego dzieła Małeckiego, może istotnie być już potrzebnem.

Życzymy najszczerzej, żeby się udało — i w tem pragnieniu pozwoliliśmy sobie tak szczerze zwrócić uwagę młodego autora na to, co nam się słabą stroną jego talentu wydaje.

S. T.